

Rozdział VI

PIERWSZE STRZAŁY

Dobiegały moje ostatnie dni urzędowania w czapce listonosza, tej „czapce-niewidce”, której tyle zawdzięczam. Pewnego popołudnia siedziałem w urzędzie pocztowym zmęczony po całodziennym dreptaniu, gdy mi zakomunikowano:

- Jakiś pan do ciebie z Kalwarii. Stoi na gościńcu i prosi, żebyś wyszedł do niego. Przy drodze stał mężczyzna, którego sylwetka już z daleka znamionowała, że miał wiele do czynienia z wojskiem. Tacy nawet munduru nosić nie potrzebują! Przedstawił się krótko:
- Kapitan Lep¹. Przynoszę panu pozdrowienia od Dęba² - powiedział mocno ściskając mi dłoń.
- Od Dęba? Nie znam takiego.
- Ale pan jest przecież Odrowąż?
- Istotnie - powiedziałem niezbyt zdecydowanie – mam coś wspólnego z Odrowążem.
- No więc, Dąb to dowódca pułku piechoty Armii Krajowej. Jest pan do niego wezwany.

Następnego dnia meldowałem się już u Dęba. Miał kwaterę we wsi Leńcz. Byłem w znakomitym nastroju – zresztą niespodziewanie poprawionym widokiem, który ujrzałem jeszcze przed dojściem do Leńcz. Jak dobry znak sterczał zaryty dziobem w ziemię niemiecki myśliwiec Focke-Wulf 109, strącony w czasie niedawnych walk powietrznych nad Krakowem przez radzieckie bombowce.

Dąb, choć zawodowy – jak się później dowiedziałem – wojskowy, miał bardzo cywilny, powiedziałbym więcej: „rodzinny” sposób bycia. Tkwiło w nim jakieś męskie, arcymęskie poczucie siły, które objawia się spokojem, nawet rodzajem łagodności czy uprzejmości połączonej z dużą życzliwością dla rozmówcy.

- Jaki macie, kolego, stan ludzi? - - spytał dowódca pułku.
- Osiemdziesięciu dwóch.
- A broń?
- Nie ma żadnej.
- To niedobrze – powiedział po chwili. – No, ale postaramy się złu zaradzić. – A potem spokojnie podniósł się z krzesła, ja wstałem także, zrobiło się jakoś uroczyście.
- Od chwili obecnej przechodzicie pod moją komendę. Jesteście dziewiątą kompanią trzeciego batalionu, dwunastego pułku piechoty Armii Krajowej.

Tak oto znów zmieniłem przynależność organizacyjną, w ślad za czym poszła zmiana pseudonimu. W Organizacji Wojskowej Korpus Bezpieczeństwa byłem Odrowążem, teraz stałem się Borutą, którym zostałem aż do samego końca. W trzy dni później nawiązał ze mną kontakt dowódca trzeciego batalionu por. Mirski³.

Założyliśmy bazę na stoku góry Chełm. Góra ta wygląda jak książka postawiona grzbietem do góry, z rozsuniętymi okładkami w dole. Trzonem bazy był bunkier wykopany w ziemi, mogący schronić kilkanaście osób oraz trochę sprzętu. Wykonany jeszcze na zlecenie Wiktora był całkiem solidnie zbudowany i miał porządnie oszalowane ściany, podłogę, oświetlenie, prycze, półki, jakiś kawałek stolika. Ale największym osiągnięciem było jego zamaskowanie.

Pewnego dnia otrzymałem rozkaz udostępnienia mojego bunkra oddziałowi „Kedywu”, który na nasz teren miał przyjechać nocą z Krakowa dla wypełnienia jakiegoś zadania. Rozstawiłem łączników, sam udałem się do bunkra, ażeby tam przyjąć kolegów. I cóż się okazało? Ja, który bunkier zaprojektowałem, nadzorowałem jego budowę, byłem już

¹ Lep – mgr Alojzy Piekarczyk, mjr rez., b. D-ca III batalionu 12 pp AK

² Dąb – mjr Władysław Wojas, of. zaw. b. D-ca 12 pp AK

³ Mirski – mgr Mieczysław Wójcik, kpt. rez. – mieszka obecnie w Bielsku Białej.

w nim parę razy, długo nie mogłem znaleźć wejścia do niego. Pewną okolicznością „Lagodzącą” mogło być oczywiście to, że noc była bezgwiezdna. Mimo wszystko jednak fakt ten świadczył dobrze o zamaskowaniu. Najlepszy jednak bunkier, najlepsza organizacja czy szkolenie nie zastępowały rzeczy najważniejszej, której nam było brak, mianowicie – broni.

Pamiętam, była letnia, ciepła noc. Wieczorem otrzymałem wiadomość, że na naszym terenie jakiś oddział partyzancki ze Śląska będzie odbierał zrzut z Anglii. Zrzut? No to pewnie i broń?

Ponieważ moi chłopcy pomagali w przygotowaniach do sygnalizacji i przyjęcia zrzutu, udałem się wraz z Władkiem Różgą⁴, który powoził końmi, na miejsce akcji. Kierował nią jakiś kapitan z Armii Krajowej.

- Melduję – powiadam – że pomagamy przy odbieraniu zrzutu, może by było coś i dla nas, na początek, choćby ze dwa automaty...

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nie – mówi – musi być porządek. Zrzut jest dla oddziału Surmy ze Śląska. Tak ma być, wszystko co dla nich przeznaczone, musi do nich trafić, a o was pomyślimy później.

Na wojnie – pomyślałem – „później” bardzo często bywa równoznaczne z „nigdy”. Wypadki bowiem biegają szybko, co nie zrobione dziś, staje się często nieaktualne jutro.

Szumiąc silnikami, potężny Liberator zataczał kręgi wokół Chełmu, od kadłuba odrywały się spadochrony z pojemnikami. Wiatr dał mocny, dary z nieba były unoszone daleko od miejsca przewidzianego dla zrzutu, mnóstwo zatem było z tym wszystkim bieżaniny i szukaniny.

Zrezygnowałem z dalszych próśb.

- Władek – powiadam – jedziemy.

Polną drogą zjeżdżaliśmy w dół. Nagle konie zastrzygły uszami i stanęły, jakby zobaczyły coś niesamowitego.

Rzeczywiście. Nieco w bok od drogi, na grupie drzew, wisiało coś w rodzaju białego obłoku. Dusza pokutująca, czy biała dama z jakiegoś rozsypanego w ruinę zamku? Tak pewnie pomyślały konie Różgi, dla nas jednak było jasne, że to zasobnik z Londynu.

Siódme przykazanie... Staralem się o nim zapomnieć zagłuszając je ludowym porzekadłem: „Bierz Michale, co Pan Bóg daje”. Najadłem się później z tego powodu wstydu, natarto mi uszu, ale...

Ale w zasobniku znajdowały się prawdziwe skarby. Dwanaście Stenów. Sześć rewolwerów systemu Smith-Wesson, takich, jakich w westernach używają kowboje. Świetne, jak się później okazało, spluwy. Dwie radiostacje odbiorcze i dwa zegarki. Jeden z nich, marki „Zenith”, noszę do dnia dzisiejszego.

Nareszcie mieliśmy z czym zacząć. Moi chłopcy przestali mordować się przy ćwiczeniach z drewnianymi atrapami karabinów. Dalszy ciąg szkolenia odbywał się z prawdziwą bronią w stodole Różgi.

W terenie krążyły, rzadkie wprawdzie, niemieckie patrole. To była nasza „zbrojownia”. Mieliśmy ich teraz czym zaatakować i zapasy broni rosły.

Po zameldowaniu dowódcy batalionu Mirskiemu o zdobyciu uzbrojenia, otrzymałem w dwa dni później rozkaz zorganizowania oddziału partyzanckiego, któremu od miejsca postoju nadano kryptonim „Chełm”, i rozpoczęcia działań partyzanckich.

Jako tako uzbrojeni dokonaliśmy wypadu na dużą garbarnię w Zembrzycach, gdzie zaopatrzyliśmy się w skórę. Zaczęliśmy się „liczyć” w terenie. Konfiskowaliśmy bydlęto zabierane przez Niemców na kontyngenty. Pewną część braliśmy na własny użytek, ale większość w tej czy innej formie zwracaliśmy właścicielom, którzy wobec Niemców

⁴ Różga – Władysław Goryl, kpr. Rez., pierwszy zwerbowany do „Chełmu” partyzant, wspaniały zwiadowca. Wspomina o nim w „Pięciu mostach” inż. Tadeusz Studziński

legitymowali się naszymi zaświadczeniami z pieczętką i moim podpisem: Boruta. W archiwach niemieckich urzędów znalazły się dokumenty, stwierdzające nasze istnienie.

Pewnego dnia jakiś obywatel Palczy, koło której znajdowały się mogiły sztabu konfederatów barskich, zawiadomił, że czeka na nas lekki karabin maszynowy produkcji polskiej, ukryty jeszcze w czasie kampanii wrześniowej.

Zbroiliśmy się więc, ubieraliśmy się i zaopatrywaliśmy w zapasy żywności.

Któregoś dnia z klasztoru Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej doszła do nas wiadomość, że zatrzymał się tam jakiś poważny dygnitarz z policji niemieckiej, człowiek niebezpieczny, a nadto posiadający pięć wspaniałych koni.

Trzeba go załatwić, a konie zabrać – brzmiał rozkaz. Zleciłem tę robotę Danowi⁵. Dan z polecenia organizacji podziemnej pracował w policji kryminalnej w Krakowie. Niemcy jednak zaczęli węszyć i musiał przysnąć do lasu, gdzie znalazł się w moim oddziale.

Załatwić? Łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić, by nie narazić czcigodnych ojców Bernardynów na nieprzyjemności, a nawet dekonspirację? Klasztor bowiem stanowił ważny ośrodek organizacyjny Armii Krajowej na tym terenie. Mieścił się tam sztab gen. Olzy⁶.

Dan wpadł na kapitalny pomysł. Pomogła mu w tym doskonała znajomość języka niemieckiego oraz manier „wyższych sfer”, tj. Gestapowców. Przedstawił się więc jako funkcjonariusz gestapo. Prawdopodobnie całe otoczenie zabitego Niemca mniemało do końca, że to jakiś porachunek między gestapowcami a dygnitarzem policji.

Pamiętać należy, że rzecz działa się po zamachu na Hitlera, kiedy nagle zniknięcie rozmaitych dygnitarzy niemieckich, wzajemne mordowanie się Niemców w ramach politycznych rozgrywek i szal samoniszczycielski, jaki ogarnął Trzecią Rzeszę w miesiącach, które nastąpiły po owym sławetnym wybuchu bomby pułkownika Stauffenberga w Kętrzynie, były na porządku dziennym i trwały długo.

Z tej wyprawy Dana uzyskałem konia z siodłem, który służył mi aż do końca moich działań partyzanckich.

Najwyższy czas było jednak przejść do działań zaczepnych, do akcji na większą skalę. Zaczęły się wreszcie 15 sierpnia 1944 r.

Ma górze Chełm robiło się trochę gorąco. Byłem pewnego dnia w Marcówce, małej osadzie w rejonie Budzowa. Miałem tam spotkać się z kandydatami na partyzantów. W pewnej chwili podszedł do mnie młody mężczyzna, jak się później okazało – partyzant Sokół z sąsiedniej ósmej kompanii Armii Krajowej, i zakomunikował:

- Panie komendancie, podsłuchałem wczoraj rozmowę w gminie w Zembrzycach. Przyjechali tam Niemcy, rozmawiali o waszym oddziale. Obliczają, że jest was ze dwustu. Rozpytywali o dojścia, drogi i takie różne rzeczy. Sołtys Baranek im doradzał, by wzięli kilkuset ludzi z wiosek, zmusili ich, by łańcuchem otoczyli górę, a z tyłu postawili żołnierzy z automatami. Partyzanci nie będą strzelać do swoich, a wtedy łatwo zdobędzie się Chełm.

Rachuba sołtysa Baranka nie była naiwna, istotnie większość żołnierzy oddziału stanowili ludzie z okolicznych wsi, a więc ci, którzy mieli zrobić „łańcuch”, byli ich krewnymi, znajomymi, przyjaciółmi.

Ta informacja pokrywała się z naszymi własnymi spostrzeżeniami i przewidywaniami. Spostrzegliśmy bowiem coraz większy ruch patroli i samochodów niemieckich. W urzędach niemieckich musiały się piętrzyć nasze kartki, kwitujące rekwizycję kontygentów, musiały piętrzyć się meldunki o potyczkach i rozbrajaniu patroli, do wściekłości musiała doprowadzić ich nasza akcja na garbarnię w Zembrzycach, już nie tylko dlatego, że sprzątnęliśmy Niemcom masę skór, lecz także, że działo się to w pobliżu silnie obsadzonego posterunku

⁵ Dan – Zygmunt Hessel, st. sierż., krakowianin, był w oddziale „Chełm” z całą rodziną: ojcem Ludwikiem pseud. Wierny – Dziadek, matką Zofią pseud. Babka, siostrą Janiną i szwagrem Stanisławem Ziółkowskim pseud. Telimena

⁶ Olza – gen. dyw. Brunon Olbrycht, d-ca dyw. AK, w skład której wchodził 12 pp AK

żandarmerii i dużego domu wypoczynkowego dla żołnierzy niemieckich, posiadających przecież broń osobistą. Toteż prędzej czy później należało oczekiwać ataku.

Wysłałem meldunek o sytuacji do dowódcy batalionu, prosząc jednocześnie o zezwolenie przesunięcia się z oddziałem w rejon Makowa Podhalańskiego, znany mi z lata 1928 r., gdyż byłem tam na harcerskim kursie instruktorskim Chorągwi Łódzkiej w Juszczyńce koło Makowa. Uzyskałem zgodę i wysłałem w rejon przyszłego miejsca postoju pluton pod dowództwem ppor. Sulimy⁷ na rekonesans. Wkrótce Sulima przysłał meldunek o wspaniałych warunkach dla partyzantów w tamtych okolicach.

Tak więc pod koniec lipca przenieśliśmy się do nowej bazy, na Hali Malinowej, w pobliżu Jordanowa. Tam nieco wyżej od nas, kwaterował już duży oddział radzieckich partyzantów pod dowództwem płk. Kalinowskiego⁸.

15 sierpnia 1944 r. przypadał tradycyjny dzień żołnierza. Część mojego oddziału znajdowała się jeszcze na obszarze góry Chełm i tam zaplanowane zostały podniosłe „centralne uroczystości” uświetnione wizytą dowódcy miejscowej dywizji Armii Krajowej gen. Olzy, dowódcy pułku mjr. Dęba i wielu innych osobistości.

Przybył również z klasztoru w Kalwarii Zebrzydowskiej ojciec Wincenty, kapelan naszej dywizji Armii Krajowej, który odprawił w lesie Mszę Św. Po czym odbył się obiad żołnierski. Niestety w obiedzie tym nie brałem udziału, gdyż za zezwoleniem gen. Olzy odmaszerowałem w asyście czterech partyzantów na Halę Malinową. Tam to przebywała druga część mego oddziału i w tymże dniu o godzinie 16 za zgodą szefa sztabu dywizji ppłk. Leszczyńskiego⁹ miałem mieć rozmowę na temat współdziałania z płk. Kalinowskim, dowódcą oddziału radzieckich spadochroniarzy „Walka”.

Chciałem, aby to spotkanie wypadło możliwie okazale, raz, że dzień żołnierza, dwa, że to pierwsza poważna rozmowa o współpracy z Rosjanami, wielkie i nie tylko symboliczne, jak się później okazało, wydarzenie w życiu naszego oddziału. Nawiązana wtedy współpraca rzuciła nasz oddział w bystry i głęboki nurt znacznie ostrzejszych działań wojennych.

Stroną „lokalowo-gastronomiczną” zajął się ówczesny szef kompanii Prusow¹⁰. Po krótkim spotkaniu w plenerze zeszliśmy razem z płk. Kalinowskim do mojej kwatery w chałupie pocziwego Syca na Malinach (Hali Malinowej). Kalinowski – jak gościevi wypada – siedł pierwszy. Kiedy przekroczył próg, stanął jak wryty. Przez moment targnął mną niepokój: co się stało? Ale trwało to tylko ułamek sekundy. Oczom moim ukazał się pięknie przystrojony, iście bankietowy stół, zastawiony rozrzutnie najrozmaitszymi specjałami, niektóre z nich w naszym życiu były już tylko wspomnieniem lat przedwojennych.

- Ale przyjęcie – stwierdził mój radziecki gość nieco stropiony, olśniony i wyraźnie zadowolony. – No, no!

Piliśmy, jedliśmy, wreszcie Kalinowski bezpośrednio chwycił, jak to się mówi, byka za rogi.

- Słuchajcie, Boruta, rozmawiajmy jak żołnierz z żołnierzem. Po co mamy się wzajemnie oszukiwać. Wy na Lublin, czy na Londyn?

- Panie pułkowniku, jestem żołnierzem, nie politykiem. Germańcy nasz wróg, a kto ich bije – nasz druh. Więc jeśli i wy ich bijecie, to jesteście druhami.

- Ot maładiec Boruta! Dogadaliśmy się!

Pułkownik wyciągnął rękę. Podałem swoją dodając:

⁷ Sulima – Teodor Kowski. Patrz: Todek rozdz. II

⁸ Kalinowski – płk Nikołaj Aleksandrowicz Kazin, d-ca zgrupowania radzieckich spadochroniarzy „Walka”, znany już z wielu publikacji – obecnie mieszka w Kadiejewce (ZSRR)

⁹ Leszczyński – ppłk Władysław Moykowski, szef sztabu dywizji AK pod dow. Gen. Olzy

¹⁰ Prusow – Stanisław Drózdź, mjr rez, obecnie prezes PSS w Ząbkowicach Śląskich.

- Tak myślę, że dogadaliśmy się. Przypuszczam też, że i moje władze nie będą miały nic przeciwko temu. Bo widzicie, pułkowniku, ja jestem dowódcą kompanii, nie atamanem jakiejś bandy, muszę być podporządkowany przełożonym.
- Dla mnie grunt, że macie dobre chęci.

I właściwie w ten sposób zakończyła się część „polityczna” naszej rozmowy. Moje przewidywania nie zawiodły. W parę dni później szef sztabu dywizji ppłk Leszczyński odwiedził nas na Hali Malinowej i również przeprowadził z Kalinowskim rozmowę, której rezultatem było zaakceptowanie mego porozumienia.

Ale wróćmy do suto zastawionego wówczas stołu. Szef Prusow pokazał klasę! Po wyczerpaniu spraw politycznych zaczęliśmy omawiać tematy znacznie bardziej frapujące. Mianowicie chodziło o plany dalszych akcji bojowych. Broni wtedy nie miał nasz oddział dosyć (ponieważ część tamtej, „poderwanej” Ślązakom ze zrzutu wbrew siódmemu przykazaniu, trzeba było oddać i gęsto przeproszać). Mieliśmy wielu kandydatów do oddziału, ale trzeba im było dać do ręki broń.

Właśnie z powodu tego „głodu broni” wysunąłem plan uderzenia na posterunek niemiecki w Kojszówce. Koło Kojszówki przechodził bardzo ważny most dwuprzęsłowy. Niemcy, zaniepokojeni wzrostem ruchu partyzanckiego, postawili w pobliżu silny posterunek wojskowy, dobrze ufortyfikowany i zaopatrzony w broń maszynową.

Płk Kalinowski był świetnie zorientowany w sytuacji. Na moją propozycję powiedział, abyśmy sobie jeszcze po kieliszku golnęli (wprawdzie harcerz nie pije i nie pali – ale cóż, bywają sytuacje wyjątkowe), a gdyśmy sobie otarli usta i zakąsili, podsunął krzesło w moją stronę i uderzając mnie po kolanie, powiedział:

- Ot wy, Boruta, racji nie macie. Kojszówka... Pomyślcie, jak długo mogą się oni bronić... Amunicji im nie zabraknie, a wy diabła zjecie, zanim podejście do budynku. Ludzi potracicie, Niemców sobie na głowę ściągniecie. Nie, Boruta, ja nie radzę wam. Ludzi stracić łatwo, będą do nich strzelać jak do kaczek, a wiecie wy, ile to lat trzeba, żeby człowieka wychować, dopilnować, ustrzec, szkoda ludzi.
- Ale broń, panie pułkowniku, tak nam jest potrzebna – oponowałem – tam mają masę broni.
- Broń potrzebna – powiedział Kalinowski – no cóż, poczekamy trochę, będziemy mieli zrzuty, sami dostaniemy, to i z wami podzielimy się.

Muszę powiedzieć, że podobała mi się bardzo ta postawa troski o ludzi. Mówiło się sporo u nas, że Rosjanie ludźmi szafują; zachowanie się pierwszego rosyjskiego oficera, z którym miałem do czynienia, świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym. Zresztą Kalinowski był bardziej doświadczonym oficerem i partyzantem niż ja.

Mając raport od Prusowa o sytuacji posterunku niemieckiego postanowiłem jednak uderzyć sam na Kojszówkę, której skarby wojenne nie dawały mi spokoju. Po północy ruszyliśmy w jej stronę. Od Hali Malinowej dzieliła nas przestrzeń około piętnastu kilometrów duktami leśnymi. Zaczęło szarzeć, gdy przekroczyliśmy drogę i zaczęliśmy tyralierą schodzić w dół, gdzie na stoku wzgórza znajdowała się nieprzyjacielska „forteca”.

Dobra nasza – myślę sobie, prowadząc z wyciągniętym parabellum oddział rozwinięty do natarcia. Śpią pewnie mocno, cały dom pogrążony w ciszy, nawet listek na drzewie nie drgnie.

Byliśmy już o kilkadziesiąt metrów od zabudowań, gdy zdarzyła się rzecz równie prozaiczna, jak brzemienna w skutki. Jakiś Niemiec wyszedł do stojącej za stodołą ubikacji właśnie w momencie, kiedy tyraliera nasza stała się zupełnie widoczna.

Przez moment pomyślałem, żeby wycofać się z akcji. Mogliśmy to zrobić, ale pierwsza duża bojowa akcja, przerwana właściwie przed rozpoczęciem boju? Nie, idziemy, może się uda.

Zabrakło nam dosłownie kilkunastu sekund, z domu sypać się zaczęły serie z broni automatycznej. W kilku dobiegliśmy do samego domu. Znalazłem się pod ganeczkiem, drzwi były uchylone, za drzwiami słychać było kroki biegających Niemców, odbezpieczyłem granat, pękate, pocięte w kwadraty jajko frunęło w szczelinę, za chwilę rozległ się huk, łomot, jęki, zamieszanie. Udało się! Z kolei zacząłem strzelać do wnętrza z pistoletu.

Ale ogień z okien prażył niemiłosiernie i skutecznie zatrzymał naszą tyralierę. Obejrzałem się, odbezpieczyłem drugi granat, cisnąłem w okno, z którego – jak wnioskowałem – warczał karabin maszynowy. Gdyby udało się go zmusić do zamilknięcia, tyraliera mogłaby podejść bliżej. Moi chłopcy nie są najlepiej przygotowani, ale Niemcy boją się panicznie walki wręcz, może więc nam się udać.

Drugie jajko stalowe frunęło spod ganeczka, gdzie zajmowałem stanowisko. Cóż za pech jednak! Z rozpaczą dostrzegłem, jak jajko odbiło się od ściany i upadło w pobliżu ganku.

Na szczęście zdołałem skryć się za ceglany podestem ganku. Grad śmiercionośnych odłamków posypał się w moją stronę. Wtem gdzieś w okolicach pasa poczułem, dobrze znane wszystkim biorącym udział w akcji bojowej, ciepło. O, niedobrze – myślę sobie – jestem chyba ranny. I, cóż za ironia losu, ranny odłamkiem własnego granatu!

Z duszą na ramieniu macam palcem „ciepłe” miejsce. Potem spoglądam na palec. Jest krew, czy nie ma? Chwila głębokiej ulgi: nie ma. Odłamek uderzył w pas z kaburą od parabelki. Kaburę uszkodził, ale rany nie było, pewnie tylko siniak zostanie, niewielki to musiał być odłamek i niegroźny.

Tyraliera nie mogła się ruszać pod ogniem broni maszynowej. Trudno, trzeba było zatrzeć, a raczej zagwizdać, do odwrotu. Pod ubezpieczeniem por. Hańczy¹¹ z oddziału „Harnasie”, który wali ogniem po oknach niemieckich, kilkoma susami wycofuję się z podwórza przekłętą posterunku.

Na końcu był płot co najmniej dwumetrowej wysokości, stanowił najniebezpieczniejszy punkt odwrotu. Trzeba się było wdrapać i przejść na drugą stronę, a z okien wystawało kilkanaście luf, czekających tylko na ten moment.

Do dziś wytłumaczyć sobie nie jestem w stanie, w jaki sposób udało mi się bez rozpędu, jak na jakiejś olimpiadzie, jednym susem przeskoczyć przez tę dwumetrową barierę. Po ułamku sekundy padło w to miejsce kilkadziesiąt co najmniej kul.

Trzeba było się cofać. Amunicja nasza była na wykończeniu, nie mogliśmy zbyt długo oblegać Niemców, którzy mieli kilkanaście razy tyle amunicji, nie mówiąc już o przewadze w broni maszynowej. Poza tym z pobliskiej szosy zaczęły dochodzić odgłosy samochodów, jadących przypuszczalnie na odsiecz.

Miał rację płk Kalinowski odradzając atak na Kojszówkę. Niestety, nie ustaliliśmy dokładnie, jakie straty ponieśli Niemcy. Podobno pięciu zabitych i dwóch rannych. Myśmy stracili jednego człowieka. To smutne, ale mimo wszystko byłoby gorzej, gdybym odwołał operację przed uderzeniem, gdybyśmy się cofnęli bez walki i próby zwycięstwa. Mimo niepowodzenia nastrój w oddziale był dobry, a nawet zaryzykowałbym twierdzenie, że podniesiony nieco pierwszą prawdziwą, choć „remisową” bitwą.

Za Kojszówkę dostałem naganę od dowódcy batalionu. Zarzucono mi, że na tak mało poważną akcję poszedłem sam i zabrałem jeszcze ze sobą aż czterech oficerów – stan kadry był wówczas tak szczupły – ponadto, że rozpoznanie miejsca akcji nie było precyzyjne, co zaważyło na jej przebiegu.

¹¹ Hańcza – mgr Henryk Galas, kpt. rez., b. D-ca oddziału partyzanckiego „Harnasie” z 3 pp AK

Było to jednak dobre przygotowanie do dealejszej, już naprawdę na dużą skalę, akcji. Omawialiśmy ją długo i obszernie z płk. Kalinowskim oraz por. Jędrzejewskim¹². Studiowaliśmy na mapach system komunikacji kolejowej na naszym terenie.

- O, patrzcie – pułkownik wodził palcem po mapie – most pod Krzeszowicami. To połączenie Śląska z Krakowem, jedna z najważniejszych linii zaopatrzenia dla frontu południowego. Most jest duży, dwutorowy. Tu most pod Barwałdem, pod Skawiną, pod Oświęcimiem! Żeby tak wszystkie cztery trzasnąć w możliwie krótkich odstępach czasu, jaki zamęt w komunikacji się zrobi, ile dostaw na front się opóźni, jaki bałagan powstanie w fabrykach śląskich i krakowskich, produkujących dla potrzeb wojny!

Rosjanie w tym czasie otrzymali duży zrzut broni i materiałów wybuchowych. Jak się zdaje, ich taktyka nie zmierzała do wywoływania potyczek z poszczególnymi oddziałami niemieckimi, ale raczej do systematycznego niszczenia połączeń niemieckiego frontu z zapleczem.

Podzieliliśmy się bronią i materiałami wybuchowymi, podzieliliśmy też zadania. Oni mieli środki techniczne, my mieliśmy ludzi. Szczególnie cenną w tym zadaniu osobą był dowódca jednego z moich plutonów, por. Jędrzejewski, który w cywilu był inżynierem dróg i mostów. W wojsku – saperem. Czyż może lepiej nadawać się do niszczenia mostów ktoś inny niż ten, kto je buduje?

Powiedziałem więc Jędrzejewskiemu, żeby sobie wybrał odpowiednich ludzi do akcji, możliwie najlepiej wyszkolonych i znających teren, a także o żelaznej wytrzymałości fizycznej i psychicznej. W forsownych marszach, przy konieczności dźwigania znacznych ciężarów, w wypadku długotrwałego pełzania, kiedy trawa nie śmie się poruszyć, wielogodzinnego naprężenia, w tych warunkach najlepsza wola i najświętszy zapał, choć ważne, nie wystarczą. Potrzebna jest mocna budowa, stalowe mięśnie, i nerwy jak postronki, w takiej bowiem operacji najmniejsza „wysiadka” psychiczna może spowodować nieobliczalne wprost straty.

Długo więc zastanawialiśmy się nad wyborem najlepszych, wreszcie Jędrzejewski wybrał kilkunastu ludzi, w tym paru z Krakowa. Do tego doszło kilku Rosjan i oddziałek poszedł w szeroki świat, na Krzeszowice, na Oświęcim, na Barwałd i Skawinę...

Nie będę tutaj opisywał tej akcji, która była dużym wyczynem w naszej polsko-radzieckiej współpracy; po pierwsze dlatego, że sam, jako dowódca całego oddziału, musiałem pozostać na miejscu, a po wtóre, że to wszystko z wielkim talentem i pasją opisał inż. Tadeusz Studziński – pseud. Jędrzejewski – w swojej książce „Pięć mostów”.

Ci, co zostali, musieli się zająć mniej efektownymi, a jednak bardzo niezbędnymi sprawami. Któregoś dnia – czy raczej nocy – na obszarze naszym wylądowało na spadochronach trzech wywiadowców radzieckich, jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Kobieta nazywała się wówczas Ania, miała piękne czarne włosy i smagłą, trochę ormiańską twarz. Myślałem, że pochodzi z którejś z republik środkowoazjatyckich czy kaukaskich Związku Radzieckiego. Ale dziś wiem, że nazywa się Stanisława Borkowska i mieszka we Lwowie.

Wywiadowcy mieli bardzo ważne zadanie w Krakowie, jakie, o to oczywiście nie pytaliśmy się i po dziś dzień nie wiem. Kalinowski prosił, żebyśmy pomogli przerzucić ich do Krakowa. Oczywiście zrobiliśmy to chętnie.

Innej „roboty” też mieliśmy sporo, przykryj niestety, ale koniecznej. Choćby taka sprawa konfidenta Wilczka. Mieszkał sobie w Jordanowie taki pan Wilczek; nikt nie wiedział, czym się zajmował. Niby to siedział u rodziców żony, mających skromne gospodarstwo rolne, ale coś zbyt często widywano go w towarzystwie żandarmów, którym pomagał ścigać Polaków i Żydów.

¹² Jędrzejewski –Kurzawa – mgr inż. Tadeusz Studziński, d-ca plutonu „Kurniawa” w oddziale partyzanckim „Chełm” – autor „Pięciu mostów”, Warszawa 1958.

Zaczęły się mnożyć niepokojące alarmy. To tego zabrali Niemcy, to tam zrobili rewizję... I zawsze przewijał się we wszystkich tego rodzaju historiach pan Wilczek.

Wdrożono śledztwo. Sąd Wojenny w Krakowie stwierdził, że Wilczek współpracuje z Niemcami, jest po prostu szpiclem. Zapadł wyrok śmierci. Pewnego dnia zjawił się u mnie z tym wyrokiem ppor. Zimny¹³. Mieliśmy wyrok wykonać możliwie szybko. Poszło trzech moich ludzi: Dan, Puma¹⁴ i bodaj Sowa¹⁵. W pobliżu Jordanowa szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkali Wilczka, jadącego z miasta. Przysiedli się, zmusili Wilczka do zmiany kierunku jazdy i skierowali konia do lasu.

Konfidentowi ścierpła skóra. Chłopcy obchodzili się z nim grzecznie, nie dali poznać po sobie niczego, ale na złodzieju czapka gore; zresztą wyroki na zdrajców nie były rzadkie. Czy Wilczek dał jakiś znak, czy był to przypadek – w każdym razie ktoś z jego rodziny z Jordanowa musiał zauważyć, że zamiast wracać do domu, jedzie do lasu.

W głębi lasu chłopcy kazali przerażonemu Wilczkowi zsiąść z wozu, wyciągnęli wyrok z kieszeni i zaczęli mu odczytywać. Wilczek znieruchopniał, krew odpłynęła mu z twarzy, nawet nie próbował się tłumaczyć czy zapierać, stał tylko skamieniały biernie oczekując śmierci.

Na wozie była łopata i komuś z oddziałku egzekucyjnego przyszło do głowy, żeby szpicel sam sobie wykopał grób. To było niepotrzebne i mogło się okazać fatalne w skutkach. Rodzina Wilczka bowiem zaalarmowała żandarmerię z Jordanowa, która błyskawicznie podążyła śladami wozu i prawie zaskoczyła partyzantów. Trzeba było wycofywać się szybko, walka bowiem z kilkunastoma żandarmami byłaby beznadziejna. W ostatniej chwili któryś z ekipy egzekucyjnej wyciągnął błyskawicznie pistolet i strzelił do Wilczka. Strzał nie był celny, Wilczek został tylko ranny i niemal prosto z rąk partyzantów osunął się na ręce idących mu z odsieczą niemieckich „przyjaciół”.

Wilczek powrócił do Jordanowa z honorami, a potem został odwieziony do szpitala w Makowie. Niemcy otoczyli go wielką troską, wojsko pilnowało szpitala, w którym go kurowano. Opieka ta wyglądała na demonstrację, chciano pokazać innym szpiclom i konfidentom w rodzaju Wilczka, że Niemcy potrafią ich obronić.

Aliści rzecz się nie udała tylko częściowo. Mimo wysiłków, żeby przywrócić mu zdrowie, Wilczek otoczony pilnującymi go posterunkami niemieckimi musiał się jednak rozstać ze światem, rana bowiem była ciężka (przebicie szyi).

Ta troska Niemców okazana Wilczkowi dobitnie potwierdziła słusność wyroku Sądu Wojennego. Nie zawsze jednak tak było.

Gdyśmy się przenieśli w lipcu spod góry Chełm na Halę Malinową, komendant miejscowej placówki Armii Krajowej rozkazał wykonać wyrok Sądu Wojennego na nauczycielce z Juszczyzna. Przekazałem to ówczesnemu szefowi oddziału, Prusowi, który znał tę nauczycielkę, i poleciłem za jakiś czas przypomnieć mi o tym. Nauczycielka była skazana na podstawie doniesień i informacji o jej kontaktach z Niemcami, o tym, że jeździ do Krakowa i bywa tam u dygnitarzy niemieckiej policji oraz gestapo. Jakoś dziwnie nieśpieszno mi było tym razem dopilnować wykonania wyroku. Tymczasem któregoś dnia zgłosił mi Prusow, że dzierżawca majątku w Juszczyźnie bardzo chce się ze mną widzieć i zaprasza do siebie. Postanowiłem wybrać się kiedyś. Znałem ten dworek w Juszczyźnie z 1928 r. Pojechaliśmy.

Wracaliśmy z Prusowem, dobrze znającym teren, przez pogrążoną w ciemności wieś. Wszystkie domy pogrążone we śnie, tylko z daleka dochodził plusk rzeczki. Przed jednym z domów Prusow zatrzymał konia. Stałem i ja.

¹³ Zimny – Józef Sulak, ppor. Rez. – obecnie kierownik szkoły podstawowej w Jordanowie.

¹⁴ Puma – Zbigniew Frankiewicz, ppor. Rez. – obecnie bosman w Marynarce Handlowej. Pisał o nim Józef Kapeniak w książce „Ród Gąsieniców”, cz. III

¹⁵ Sowa – Stanisław Kościelniak, kapr. Rez., obecnie geodeta we Wrocławiu

- Komendancie! – Prusow pogrzebał w torbie – mam tu ze sobą ten wyrok, który mamy wykonać. To tutaj mieszka ta nauczycielka, niezręcznie posłać chłopców na babę, może spazmować, dostawać hysterii, w ogóle, sami rozumiecie, robota nieprzyjemna. Co innego strzyc dziewczyny zadające się z Niemcami i złożyć im tyłki pasem, a co innego zastrzelić nauczycielkę. Chyba więc my to musimy zrobić. I właśnie jest okazja.

Żołnierz nie powinien psychologizować ani zanadto filozofować. Rozkaz to rozkaz. Mimo wszystko jednak zrobiło mi się nieswojo. Gdzieś z jakiegoś zakamarka domu, zza zasłoniętego okna przenikało skąpe światło lampki naftowej. Pomyślałem, że może właśnie poprawia zeszyty.

- Szeffie, dajmy spokój tym razem. Spotkanie, z którego wracamy, było męczące i niebezpieczne, po co dwa grzyby w barszcz, baba nigdzie nie ucieka, to innym razem.
- Tak! – dodałem – macie rację, tę trudną i przykrą robotę zrobimy sami.

Minęły coś dwa tygodnie; wrócił z wyprawy jako tryumfator por. Jędrzejewski ze swoim polsko-rosyjskim oddziałem. Wszystkie cztery mosty poszły w powietrze, i to razem z pociągami. Przychodziły nowe zrzuty, z nimi coraz radośniejsze wiadomości, ofensywa radziecka robiła postępy na Węgrzech i na Bałkanach, choć zatem front nad Wisłą – najważniejszy dla nas – znieruchomiał, niemniej coraz więcej było pewności, że jesteśmy w przededniu zwycięstwa.

Gdzieś w początkach grudnia po naszym „exodusie” z Hali Malinowej i „wyprawie pod Moskwę” – (o czym szerzej dalej) – Prusow, już wówczas dowódca plutonu „Halniak”, zgłosił mi, że jestem zaproszony na kolację do kierownika szkoły w Juszczyne.

Podtrzymywanie kontaktów było rzeczą wskazaną, poza tym – połóżmy rękę na sercu i przyznajmy się do słabości – wyżerka zapowiadała się klasa, poza tym parę godzin spędzonych w miłej, kulturalnej atmosferze też było coś warte. Oczywiście poszedłem.

Jedliśmy, piliśmy, żartowaliśmy. W pewnym momencie Prusow odprowadza mnie trochę na bok i szeptem:

- Ta pani w różowej, wydekoltowanej sukni to właśnie ona.

Wskazał wzrokiem osobę będącą duszą towarzystwa, z którą chętnie i z wielką przyjemnością rozmawiałem.

- Kto to: ona?
- Ano właśnie ta...
- Która?
- No ta nauczycielka, którą mieliśmy zastrzelić.

Popatrzyłem z wściekłością na Prusowa. To po cholere przyproceedził mnie do tego towarzystwa! Teraz naprawdę głupia sytuacja. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Po bardzo serdecznej biesiadzie podejść do kogoś, z kim się przez cały czas rozmawiało szczerze i przyjaźnie, powiedzieć mu: „Teraz przeczytam ci wyrok śmierci i wsadzę kilkanaście gramów ołowiu w tę śliczną główkę z pachnącymi włosami, do których z fantazją wpięty był jakiś niebieski kwiatek”.

Myślałem, że rozszarpie Prusowa. Ale on pociągnął mnie jeszcze dalej w głąb mieszkania. Gdy weszliśmy do małego pokoiku, wziął mnie konfidencjonalnie pod rękę i powiedział, sięgając drugą ręką do kieszeni marynarki:

- Widzi pan, komendancie, jak o mały włos, a stałoby się nieszczęście.

Pokazał mi nowy wyrok Sądu Wojennego, anulujący poprzedni. Nauczycielka była bez żadnej winy, owszem, utrzymywała liczne kontakty z Niemcami, sama świetnie mówiła po niemiecku, ale z tych kontaktów płynęła masa pożytku tak dla ludności miejscowej, jak i dla konspiracji.

Rzadko byłem tak zadowolony z mojej opieszałości. A to spotkanie przy stole było zainscenizowane przez Prusowa dla uczczenia faktu, że nie będziemy już zmuszeni do wykonywania tak przykrych operacji. Miała to być niespodzianka dla mnie.

Pani¹⁶ pracowała potem dla nas i dla radzieckiego oddziału „Walka”.

Innego rodzaju była biesiada odbyta w zacisznym dworku w tymże samym Juszczyńcu. Był tam niewielki mająteczek ziemski. Gdy wybuchła wojna, właściciele wyjechali w szeroki świat, mająteczek pozostał na łasce losu. Niedługo zresztą. Niemcy przejęli go, powierzając rządy niejakiemu panu Zakrzewskiemu. Był to trochę zgermanizowany Polak, wysiedlony z Poznańskiego.

W roli treuhändera zachowywał się przyzwoicie, choć niewątpliwie łączyły go dość zażyłe stosunki z miejscowymi władzami niemieckimi. Nie szkodził jednak nikomu, patrzyliśmy więc przez palce na tę zażyłość, zwłaszcza, że w stosunku do podwładnych nie zarzucić mu nie było można. Niech – myśleliśmy – rozlicza się po wojnie za swoją postawę wobec Niemców; krzywdy mu chyba zbyt wielkiej za to nie zrobią.

Pewnego dnia powiedział mi Prusow:

- Panie komendancie, pan Zakrzewski chciałby z panem rozmawiać i ponownie prosił o to.
- Chciał rozmawiać? Nic prostszego, niech przyjedzie do mnie, pogadamy, jeśli będzie o czym.
- Kiedy to niemożliwe. Wie pan komendant, z uwagi na Niemców, bądź co bądź on jest ich jakby urzędnikiem. A i z uwagi na nas. Po co ma wypatrywać czy choćby najzwyczajniej zobaczyć to, czego nie trzeba, aby widział. A sprawa – mówił – ważna. Zakrzewski powiedział mi po cichu, że możemy otrzymać broń.

Zawsze odczuwaliśmy głód broni, mimo radzieckich zrzutów, którymi dzieliliśmy się po bratersku z płk. Kalinowskim, i mimo kapania trofeów, zdobywanych w rozmaitych utarczkach z niemieckimi patrolami. Argument o możliwości uzyskania broni był więc dla mnie czymś bardzo ponętnym.

Zdecydowaliśmy się. We dwójkę z Prusowem dosiedliśmy koni. Po dobrej godzinie wyciągniętego kłusa dosłyszeliśmy ujadanie psów z dworku pana Zakrzewskiego.

Zajechaliśmy od tyłu; było już po północy, zgodnie z umową zastukaliśmy w nie domkniętą okiennicę. Czekano na nas niecierpliwie, bo natychmiast w pokoju zapaliło się światło, a w oknie pojawiła się czyjaś głowa, dając znak, abyśmy przeszli do bocznych drzwiczek.

Pan Zakrzewski oczekiwał nas ze wspaniałą kolacją, oczywiście mocno zakrapianą. Krążył, krążył długo wokół tematu. Widać, że i jemu, mimo wszystko uczciwemu Polakowi, rozmowa sprawiała pewną trudność.

Wreszcie doszedł do sedna sprawy. Wyglądało ono tak mniej więcej:

- Wezwał mnie niedawno kreishauptmann z Makowa. Najbardziej poufnie kazał zakomunikować, żebym spotkał się z Borutą i powiedział mu, że bolszewicy zechcą zrobić z Polski siedemnastą republikę radziecką. Trzeba przyznać, mówił kreishauptmann, że panowanie niemieckie w Polsce nie było łagodne, a nieraz dawało się odczuć niczym nieusprawiedliwioną, całkiem zbyteczną i wstyd Niemcom przynoszącą, surowość. Ale wszystko to jest niczym wobec groźby panowania sowieckiego. Trzeba bronić Europy przed nawałą ze Wschodu. Niemcy i Polacy muszą się porozumieć...

Popatrzyłem na powtarzającego to wszystko Zakrzewskiego, który też czuł się głupio i dlatego zachęcał – w przerwach między poszczególnymi zdaniem – do jedzenia i picia, jakby to miało sprowadzić odprężenie. Przerwałem mu:

- Panie Zakrzewski, to wszystko można wyczytać w gazetach, czy po to fatygował mnie pan kilkanaście kilometrów w środku nocy?

Tamten zaprzeczył skwapliwie.

- Nie, nie – powiada – ja mam konkretną propozycję, ale – tu spojrział wymownie na Prusowa – tylko w cztery oczy.

¹⁶ Pani – Maria Wirowa – nauczycielka w Krościenku nad Dunajcem

Propozycja polegała na tym, że pan kreishauptmann ofiarował mi pełne zaopatrzenie w broń i nietykalność ze strony wojska niemieckiego, bylebym tylko podjął się rozbitcia oddziału płk. Kalinowskiego, a także zaniechał konfiskowania kontyngentów; całe zaopatrzenie i pieniądze, jeśli trzeba, otrzymam od niego, kreishauptmanna.

Oto i wszystko. Miałem raporty, że Niemcy szykują się do uderzenia na Halę Malinową. Udawać, że się namyślam, prowadzić coś w rodzaju rozmów – oznaczało zyskać nieco na czasie, a to już w tych warunkach było wiele. Rozsądek mówił zatem, żeby raczej pozorować pertraktacje.

Ogarnęło mnie jednak takie obrzydzenie, że – nie po raz pierwszy w życiu – oddałem głos uczuciu i stłumiłem głos rozsądku.

- Powiedz pan temu pańskiemu kreishauptmannowi...

Przyzwoitość nakazuje mi urwać to zdanie w połowie.

Cała ta rozmowa świadczyła jednak, że z Niemcami jest coraz gorzej, skoro sięgają do takich metod postępowania i takich propozycji.

Tak płynęły dni. Nasi chłopcy penetrowali teren, mieliśmy trochę egzekucji na pół żartem, na pół serio, to znaczy karcenia panienek nadmiernie sympatyzujących z Niemcami. Nożyczki strzygły do skóry ich pukle, a najmniej przyjemną częścią operacji była konieczność zdjęcia spódniczki i majteczek, po czym panińskie pośladki zmieniały barwę z białej czy różowej na ciemnofioletową. Takie metamorfozy odbywały się przeważnie publicznie, nie wiadomo więc, czy bardziej dotkliwy był ból – czy wstyd. A przecież po takim zabiegu panna pozostawała na miejscu, musiała żyć wśród ludzi, którzy byli świadkami, często naocznymi, jej upokorzenia.

Trzeba było przygotować się do starcia. I znów stara, odwieczna, nigdy nas nie opuszczająca bolączka: broń, broń, broń. Ciągłe jej było mało, a wciąż napływali do nas nowi ludzie, którzy przecież musieli czymś walczyć.

W celu podreperowania się zrobiliśmy wypad na czeską placówkę straży granicznej w Podwilku, jakieś piętnaście kilometrów od Hali Malinowej w stronę Babiej Góry. Bez jednego strzału rozbroiliśmy całą placówkę zyskując piętnaście karabinów, piętnaście hełmów – były bardzo potrzebne, zmniejszyły bowiem straty w walce – i sporo amunicji. Czescy strażnicy nie stawiali oporu, z pewną chęcią nawet pozwolili się rozbroić. Czy było to wynikiem świetnie udanego zaskoczenia, czy też Czesi w gruncie rzeczy sprzyjali naszym zamiarom i naszej akcji? Prawdopodobnie i jedno, i drugie.

Decydująca bitwa o Malinową zbliżała się szybkimi krokami.